

MARK GREANEY

GRAY MAN

Copyright © by Poradnia K

Pierwsi strzelcy, którzy dotarli do wraku, nie należeli do Al-Kaidy i nie mieli nic wspólnego z zestrzeleniem śmigłowca. To byli czterej miejscowi chłopcy ze starymi kałachami z drewnianą kolbą, którzy akurat tego ranka niezdarnie wznosili blokadę jakieś sto metrów od ulicy, na którą runął helikopter. Przepchnęli się przez rosnącą falangę gapiów, sprzedawców i dzieci ulicy, które rzuciły się w poszukiwaniu schronienia, kiedy dwuwirnikowy śmigłowiec spadł między nimi. Przemknęli pomiędzy taksówkarzami zjeżdżającymi z drogi, aby uniknąć kolizji z zestrzeloną amerykańską maszyną. Podeszli na miejsce ostrożnie, choć bez jakichkolwiek umiejętności taktycznych. Huk pistoletu smażącego się w ogniu sprawił, że odskoczyli w poszukiwaniu kryjówki. Po chwili wahania wysunęli z niej głowy, wycelowali rżące spluwy w stronę powyginanej maszyny i opróżnili zawartość magazynków.

Z wraku wyłonił się mężczyzna w poczeriałym amerykańskim mundurze i oberwał od chłopaków dwadzieścia cztery kulki z karabinów. Męka żołnierza skończyła się z chwilą, gdy pierwsze strzały przeszły mu plecy.

Adrenalina po zabiciu człowieka na oczach tłumu rozwrzeszczanych cywilów dodała chłopakom odwagi, podeszli więc bliżej wraku. Przeładowali broń i już mieli strzelać w płonące ciała załogi kokpitu, kiedy z tyłu zajęchały trzy ciężarówki pełne uzbrojonych cudzoziemców, Arabów.

Al-Kaida.

Miejscowi chłopcy rozsądnie odstąpili od helikoptera, stanęli wśród cywili i zaintonowali pieśń religijną, patrząc, jak zamaskowani mężczyźni rozstawiają się wokół wraku.

Z tyłu chinooka wypadły jeszcze dwa ciała żołnierzy. To było pierwsze, co zarejestrowała trójosobowa ekipa telewizji Al-Dżazira, wyskakując z trzeciej ciężarówki.

* * *

W odległości ponad półtora kilometra od miejsca tych zdarzeń Gentry zjechał z drogi, skręcił w koryto wyschniętego potoku i wjechał land roverem jak najgłębiej się dało pomiędzy wysokie, brązowe rzeczne zarośla. Wyszedł z wozu, pobiegł do bagażnika, zarzucił plecak, po czym za uchwyt wyciągnął długi, beżowy futerał. Odchodząc od pojazdu, po raz pierwszy zwrócił uwagę na krew zasychającą na jego luźnym ubraniu. Nie była jego, ale doskonale wiedział, czyja to krew.

Pół minuty później przemierzał już, najszybciej jak mógł, wzgórze przy suchym korycie. Kiedy uznał, że jest wystarczająco niewidoczny pośród piachu i badyli, wyciągnął z plecaka

lornetkę, przyłożył ją do oczu i wyostrzył na unoszącym się w oddali czarnym dymie. Napiął mięśnie żuchwy.

Chinook spoczął na ulicy miasta Al-Ba'adż, przy wraku zdążył się już zebrać tłum ludzi. Lornetka była za słaba, żeby dojrzeć przez nią szczegóły, więc przeturlał się na bok i otworzył beżowy futerał. W środku leżał karabin wyborowy Barrett M107: pięćdziesiątka, strzelająca ciężkimi pociskami wielkości połowki puszki piwa, i to z prędkością wylotową pocisku wynoszącą ponad osiemset metrów na sekundę.

Gentry nie naładował broni, tylko skierował ją w stronę miejsca upadku helikoptera, żeby skorzystać z mocnej lunety, w którą była wyposażona. Przez celownik optyczny o szesnastokrotnym przybliżeniu widział i ogień, i ciężarówki, nieuzbrojonych cywili, jak również mężczyzn z karabinami.

Część miała odsłonięte twarze. Miejscowe rzezimieszki. Inni natomiast nosili czarne kominiarki, głowy niektórych owinięte były kefijami. Ci to pewnie kontyngent Al-Kaidy. Zagraniczni pierdziele. Korzystając z niestabilności regionu, przyjechali zabijać Amerykanów i tych, którzy z nimi współpracują.

Nagle zauważył błysk podnoszonego, a następnie prędko opuszczanego metalu: ostrze cięło leżącą na ziemi postać. Nawet przez potężny celownik optyczny Gentry nie był w stanie się zorientować, czy mężczyzna żył w momencie, kiedy klinga weszła w jego ciało. Znow napiął mięśnie żuchwy. Nie był żołnierzem, nigdy nie służył w wojsku. Był jednak Amerykaninem. Choć nie miał żadnych zobowiązań ani związku z armią Stanów Zjednoczonych, całe lata oglądał w telewizji sceny rzezi, jaka teraz odbywała się na jego oczach. Wywoływało to u niego obrzydzenie oraz gniew tak silny, że tracił umiejętność panowania nad emocjami.

Tłum zebrany wokół helikoptera zaczął falować. Upał wydobywający się z rozpalonej jałowej ziemi pomiędzy jego kryjówką a miejscem katastrofy zaburzał pole widzenia, więc dopiero po chwili mógł dostrzec, co właściwie się dzieje. W końcu rozpoznał wyraz radości oprawców zebranych wokół wraku zestrzelonego śmigłowca.

Te skurwysyny tańczyły nad ciałami.

Gentry ściągnął palec ze spustu potężnego barretta i koniuszkiem palca pogłaskał gładki spust. Dalmierz laserowy określił odległość. Trzepot kilku namiotów stojących pomiędzy jego kryjówką a miejscem zestrzelenia chinooka sprawił, że zdecydował się wziąć poprawkę na wiatr. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien strzelać z tej broni. Owszem, zabiłby kilku zasrańców, ale wtedy okolica rozpaliby się od wieści, że w tym sektorze grasuje snajper. Wtedy każdy młody samiec wyposażony w karabin i komórkę byłby w stanie dopaść go, zanim pokona te osiem kilometrów do miejsca ekstrakcji. Misja zostałaby odwołana i musiałby na własną rękę wydostać się ze strefy śmierci.

„Nawet o tym nie myśl” – mruknął do siebie. Owszem, nawet taka nędzna odpowiedź byłaby satysfakcjonującym wymierzaniem sprawiedliwości, ale wywołałoby to gównoburzę, na którą nie miał odpowiedniego parasola.

Gentry nie był hazardzistą, tylko płatnym zabójcą. Spluwał na wynajem. Człowiekiem od mokrej roboty. Zlikwidowanie sześciu dupków zajęłoby mu tyle czasu, co zawiązanie sznurówki. Wiedział jednak, że zemsta nie byłaby warta poniesionych kosztów.

Splunął na ziemię mieszaniną śliny i piasku, po czym włożył wielkokalibrowy karabin z powrotem do futerału.

* * *

Ekipa telewizyjna Al-Dżaziry została przerzucona przez granicę syryjską tydzień wcześniej wyłącznie po to, aby uwiecznić zwycięstwo Al-Kaidy w północnym Iraku. Kamerzysta, dźwiękowiec oraz reporter, będący równocześnie producentem, podróżowali razem z grupą bojowników Al-Kaidy, sypiąc w kryjówkach tej organizacji. Nakręcili wystrzelenie pocisku, moment, w którym trafił chinooka, oraz to, jak helikopter zamieniał się w kulę ognia.

Teraz nagrywali rytualne obcinanie głowy martwemu już amerykańskiemu żołnierzowi, mężczyźnie w średnim wieku, z przyczepionym do kamizelki kuloodpornej odręcznie napisanym identyfikatorem: „Phillips – Gwardia Narodowa Stanu Missisipi”. Nikt z ekipy nie znał angielskiego, wszyscy jednak zgodnie uznali, że na pewno uwiecznili właśnie zniszczenie elitarnego oddziału komandosów CIA.

Pochwały Allaha zaczęły się tańcem bojowników i strzelaniem w niebo. Choć lokalna komórka Al-Kaidy liczyła tylko szesnastu członków, tutaj uzbrojonych wojowników, zgodnie otaczających dymiący na ulicy kawał metalu, było aż trzydziestu. Kamerzysta skupił obiektyw na Moktarze, miejscowym watażce, filmując, jak płąsa pośrodku. Piękny kadr: idealnie przed wrakiem falująca biała diszdasza dostojnie kontrastowała z piętrzącymi się kłębamii czarnego dymu. Moktar skakał na jednej nodze nad zdekapitowanym Amerykaninem, prawą ręką wymachując zakrwawionym bułatem.

Operator uśmiechnął się, usiłując zachować profesjonalizm, pilnował, żeby nie dać się porwać rytmowi i tańcom chwającym potęgę Allaha, czego świadkiem byli on i jego kamera.

Moktar wraz z resztą zawołał: „Allah Akbar! Bóg jest wielki!”. Rzucił się w euforyczny taniec z zamaskowanymi cudzoziemcami,

jego gęsta broda rozchyliła się i ukazała białe zęby w uśmiechu, kiedy spojrzął na spalone i zakrwawione ciało Amerykanina leżące na ulicy.

Ekipa Al-Dżaziry też już krzyczała w ekstazie. Kamerzysta wciąż kręcił to pewną ręką.

Był świetny w swoim fachu. Cel pozostał w środku kadru, kamera nawet nie zadrżała. Do chwili, kiedy głowa Mektara przechyliła się nagle, pękając niczym zmiażdżone winogrono, tryskając na wszystkie strony rozbryzgującymi mięśniami, krwią i odłamkami kości.

Wtedy kamera zadrżała.

* * *

Gentry jednak nie był w stanie się powstrzymać.

Strzelał raz po raz w uzbrojonych mężczyzn w tłumie, równocześnie głośno przeklinając swój brak zdyscyplinowania. Wiedział, że oto właśnie wyrzucał do kosza cały plan i operację. Nie słyszał nawet własnego narzekania. Miał zatyczki w uszach, ale sam odgłos wystrzału chwilowo go ogłuszał. Wypluwał serie pocisków jedna po drugiej, a odrzut z hamulca wylotowego wzbijał wokół niego tumany piachu i kurzu.

Kiedy przerwał ostrzał, aby wymienić ciężki magazynek, spróbował trzeźwo oszacować sytuację. Z punktu widzenia technik wywiadowczych popełnił właśnie najdurniejszą gafę, jaką się dało, praktycznie oznajmiając bojownikom wszem wobec, że tu czai się ich śmiertelny wróg.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że w głębi duszy był z siebie cholernie zadowolony. Poprawił olbrzymi karabin, aby lepiej leżał na ramieniu, które już nieźle bolało od odrzutu, westchnął,

spoglądając na wrak, i wrócił do wymierzania sprawiedliwości. Przez potężny celownik optyczny widział, jak poszczególne części ciała lecą do góry w momencie, kiedy kolejny wielki pocisk trafił zamaskowanego bojownika w brzuch.

To była zemsta, nic więcej. Wiedział, że na szerszą skalę jego działania na niewiele się zdały poza tym, że kilku skurwysynów zmieniło stan skupienia. Wciąż strzelając do uciekających bandziorów, zaczął się obawiać o najbliższą przyszłość. Nie było już sensu próbować dostać się na lądowisko. Kolejny śmigłowiec w okolicy byłby zbyt łakomym kąskiem dla rozgniewanych bojowników Al-Kaidy, tych, którzy ocalili. Nie ma mowy. Trzeba będzie zejść, znaleźć jakiś przepust czy niewielką wadi, pokryć się kurzem i błotem i przeleżeć cały dzień w upale, starając się nie zważać na głód, kłuszące robactwo i pełny pęcherz.

Cóż, w każdym razie przesrane.

Mimo to, uznał, zmieniając trzeci i ostatni magazynek, że jego nędzna decyzja przyniosła jakieś korzyści. W końcu sześciu martwych gnojków to wciąż sześciu martwych gnojków.

Przełożyła Karolina Rybicka-Tomala